

A może być Boliwia cz. V

Proboszcz z konieczności

Króregoś dnia przyszedł o. Antoni¹, gwardian z sąsiedniego klasztoru św. Franciszka i powiedział:

- Jestem zaproszony na odpust do Norberta² do San Pablo. Jak chcesz, to możesz jechać ze mną.

- Kiedy byśmy jechali?

- W Santa Cruz musimy być 27 czerwca. Norbert nas odbierze z lotniska. Ale 1 lipca muszę być już w Cochabambie.

- Muszę porozmawiać z moim gwardianaem, ale chyba nie będzie miał nic przeciwko temu.

Gwardian rzeczywiście się zgodził i pojechaliśmy. Pierwszy raz przeżywałem odpust w Boliwii i to w dodatku na Guarayos. Jakże inaczej to wyglądało niż w Polsce. W takich małych miasteczkach odpust jest prawdziwym świętem dla wszystkich, bo to nie tylko uroczystość parafialna ale i święto miasta. A dla mnie była to okazja do spotkania się z naszymi współbraćmi pracującymi w Wikariacie Apostolskim Ñuflo de Chávez. Nocowaliśmy w pobliskim Ascensión, w drodze powrotnej wjechaliśmy do El Fortín.

Tak, jak było zaplanowane, 1 lipca o godzinie 16.00 wróciłem do Hospicio. Jeszcze nie doszedłem do mego pokoju, gdy brat zakomunikował mi przykrą wiadomość.

- Teraz jesteś proboszczem i gwardianem.

- Jak to? A gdzie Juan?³

- W szpitalu. Stan bardzo ciężki - odpowiedział.

- A Vicente?⁴ - zapytałem.

- Też w szpitalu w ciężkim stanie.

- Od kiedy?

- Juana odwieźliśmy wczoraj wieczorem, a Vicente dzisiaj w połunie.

No to jest „wesoło” - zostałem jedynym kapłanem w 12 tysięcznej parafii. Do pomocy mam dwóch diakonów, jeden w zakrystii i zajmuje się domem, drugi

¹ Obecnie bp Antoni Bonifacy Reimann ofm - pochodzi z Prowincji św. Jadwigi we Wrocławiu i teraz jest ordynariuszem w Concepción.

² O. Norbert Brylka ofm - pochodzi z Prowincji św. Jadwigi we Wrocławiu.

³ O. Juan Barturen ofm - Hiszpan, gwardian i proboszcz w Hospicio. Po miesiącu leżenia w szpitalu i rekonwalescencji, na dalszą kurację pojechał do Hiszpanii. Wrócił do Boliwii w połowie grudnia.

⁴ O. Vicente Pérez ofm - Hiszpan, wikary parafialny w Hospicio.

studiuje, ale Mszy św. mi nie odprawiają, do konfesjonału iść nie mogą, na biuro parafialne nie mają czasu, na katechezę też, więc do prac duszpasterskich zostałem sam.

Pierwsze Komunie św. i bierzmowania

W Boliwii nauka Religii jest w szkole, ale przygotowania do sakramentów odbywają się w parafiach. Niestety, wygląda to różnie. Katechetami najczęściej są młodzi ludzie ze szkoły średniej lub studenci (jeżeli jest to miasto z uniwersytetem). W wielu parafiach odpowiedzialne są siostry zakonne, ale nie we wszystkich. Jest też kilka ośrodków, które przygotowują katechetów, ale oferują one kursy trzy miesięczne lub półroczne. Ich uczestnikami są zazwyczaj ludzie z wiosek, którzy na taki czas mogą wyjechać z domu, a po powrocie pełnią funkcję animatorów religijnych w swoim miejscu. Oczywiście, są też studia teologiczne dla świeckich, ale ci, którzy je kończą, pracują w szkołach. Więc, każda parafia, na swój sposób, przygotowuje katechetów. Jasne, że musi być ich wystarczająco dużo, bo też na tę pracę poświęcają swój wolny czas. Dlatego najczęściej każdy prowadzi tylko jedną grupę. i bardzo wielu parafiach robią to gratis.

W Hospicio mieliśmy około czterdziestu katechetów. Prawie wszyscy pracowali już kolejny rok, więc mieli trochę doświadczenia. Wśród nich było też czterech kleryków z naszego seminarium. Każda grupa miała lekcje raz w tygodniu. Spośród dzieci do Pierwszej Komunii św. spora grupa nie była jeszcze ochrzczonych. Podobnie wśród kandydatów do bierzmowania byli i tacy, którzy nie byli jeszcze u Pierwszej Komunii św., i byli tacy, którzy również przygotowywali się do chrztu.

Może to wydawać się dziwne, że rodzice katolicy, a ich dzieci mające 15, 16... 18 lat jeszcze nie były ochrzczone. Trzeba jednak pamiętać, że tutaj rodzice mają trochę inne podejście do dzieci niż w Polsce, a także rola „padrinos” - rodziców chrzestnych jest też trochę inna, ale o tym później.

Trochę to dziwnie wyglądało, gdy w pewną sobotę o godzinie 16.00, spora grupa dzieci i młodzieży (one w sukniach jak do ślubu, oni w garniturach), w otoczeniu rodziców, rodzeństwa, chrzestnych, krewnych przyszła do kościoła, aby przyjąć chrzest. Rodzice dumni, że ich dziecko będzie ochrzczone, choć powinien być to powód do wstydu, bo dopiero teraz... Skąd się wziął zwyczaj, że rodzice nie chrzczą dzieci zaraz po urodzeniu? Księżki chrztów sprzed 20 – 30 lat pokazują, że chrzczono małe dzieci, czasami nawet w tym samym dniu, kiedy się urodziły. Możliwe, że

jakiś wpływ na to ma fakt, że do miast masowo napływali wieśniacy. Do oddalonych wiosek, kapłan dojeżdżał raz na rok - dwa lata. Na padrinos wybierano bogatych właścicieli haciend. Jak ksiądz przyjechał do wioski, a wybranego padrino w tym czasie nie było, to nie szukali kogoś innego, tylko czekali następnym roku, czy dwa lata. Potem przyszli do miasta, kościół mają po drugiej stronie ulicy, kapłana widzą każdego dnia, ale zwyczaj pozostał. A rola padrinos też trochę inna niż my to znamy. Padrinos muszą zapłacić za fiestę, muszą płacić przy różnych okazjach: dziecko idzie do szkoły, idzie do Pierwszej Komunii św., bierzmowania, kończy szkołę podstawową... żeni się - kieszeń padrinos musi być dość głęboka.

W końcu nadeszła niedziela, gdy pierwsza grupa dzieci szła do Pierwszej Komunii św. Na szczęście, wcześniej zasięgnąłem języka i okazało się, że było tak: dzieci przychodziły do kościoła na godzinę 9.00. Oczywiście, na czas przychodziło tylko kilkoro dzieci, reszta według „hora boliviana”⁵ (ostatni wchodził do kościoła kiedy już trwało rozdawanie Komunii św.). Z samym udzielaniem Komunii św. dzieciom też był problem, bo uniemożliwiała to cała zgraja fotografów. A po otrzymaniu Komunii św., dzieci już nie wracały do ławek, tylko... ciągnięte przez rodziców, szły do bocznych ołtarzy, gdzie zaczynała się sesja zdjęciowa. Krzyki, bieganie po kościele, nikt już nie przejmował się resztą Mszy św. I to trwało około trzech godzin, mimo że w tym czasie była odprawiana następna Msza św.

Postanowiłem zrobić Pierwszą Komunię św. po polsku. Dzieci miały przyjść do salonu parafialnego na godzinę 8.00. I zapowiedziałem, że o godzinie 8.15 zamykam drzwi salonu na klucz i ci, którzy się spóźnią, nie przystąpią do Pierwszej Komunii św. No i poskutkowało. W salonie była modlitwa, ustawienie dzieci, poświęcenie dewocjonaliów, przypomnienie całego przebiegu Mszy św. Rodzice już wcześniej dostali list z informacją o obowiązku przyjścia na czas i o zakazie fotografowania i kręcenia filmów w kościele. Zaangażowałem jednego fotografa i jednego kamerzystę. Rodzice dostali ich adresy, aby później mogli od nich kupić zdjęcia, czy film. Z salonu, w procesji, z dziećmi weszliśmy do kościoła, a tam już wszystko było odpowiednio przygotowane: ławki dla nich były odgródzone tak, że nikt nie mógł podejść. Msza św. odprawiana spokojnie (no prawie, ale o tym za chwilę), dzieci skupione na tym, co się dzieje na ołtarzu, a nie na fotografach. Do Komunii św. podchodziły w procesji, nie musiały przepychać się między fotografami i rodzicami. Po otrzymaniu Komunii św. wracały do ławek na

⁵ Hora boliviana (hiszp.) - dosłownie “godzina boliwijska”, zwrot oznaczający spóźnianie się jako coś normalnego w Boliwii.

modlitwę. Po błogosławieństwie, w procesji, wróciliśmy do salonu parafialnego, gdzie katecheci przygotowali tort i napoje. Dla wielu z tych dzieci, było to jedyne przyjęcie pierwszokomunijne, bo prosto z kościoła szły do pracy w sklepie, czy w jakimś warsztacie. Pół godziny później, gdy tort był zjedzony, otwarliśmy drzwi salonu parafialnego i wtedy weszli rodzice i fotografowie. Na jednej ze ścian była przgotowana dekoracja z symbolami eucharystycznymi. Tam właśnie odbyła się sesja zdjęciowa, która tym razem trwał ponad cztery godziny. I tu moje wielkie zdziwienie. Nasi klerycy boliwijscy, którzy pomagali w przygotowaniu dzieci, gdy usłyszeli, w jaki sposób będzie miała przebieg uroczystość i o zakazie fotografowania, powiedzieli, że rodzice się na to nie zgodzą, że będzie skandal itp. Okazało się, że przez kilka godzin musiałem pozować do zdjęć, a bardzo wielu rodziców przyszło podziękować właśnie za taką formę uroczystości, po z niesmakiem wspominali Msze św. pierwszokomunijne swoich starszych dzieci.

A to, że „prawie spokojnie” można było odprawiać, to przez wojnę z fotografami. Tutaj jest tak, że na takie uroczystości fotografowie przychodzą sami, robią masę zdjęć i szukają „jeleni”, którzy je kupią. Wiedzieli, że w kościele jest Pierwsza Komunia św. Zaskoczeni byli, gdy zobaczyli dużo ludzi przed kościołem, a nie widzieli dzieci. Czekali więc na okazję. Kiedy procesyjnie z dziećmi wyszliśmy z salonu na ulicę, dla fotografów zrobił się raj. Gdyby stali z boku i spokojnie robili zdjęcia, nic by się nie stało. Jednak oni zaczęli wciskać się między dzieci, zatrzymując procesję. Musiałem interweniować. Tylko jak tu interweniować gdy tych fotografów jest dobrze ponad setka (więcej niż dzieci w grupie pierwszokomunijnej)? Trochę krzyku i poskutkowało... na pewien czas. Weszliśmy do kościoła, zaczęła się Msza św. Podczas kazania zauważyłem jakieś dziwne zamieszanie w kilku miejscach w kościele. Okazało się, że szybko wywołali zdjęcia z procesji i podczas kazania chodzili między ludźmi wewnątrz kościoła i je sprzedawali! Brat zakrystianin poszedł do nich, prosząc aby podczas Mszy św. nie uprawiali handlu. Całkowicie go zignorowali. Wyszli z kościoła dopiero wtedy, gdy przerwałem kazanie i powiedziałem, że jeśli natychmiast nie opuszczą świątyni, wezwiemy policję.

Z następnymi grupami dzieci i z bierzmowaniem już nie było większych problemów i wszyscy byli zadowoleni (z wyjątkiem dzikich fotografów).

Pożegnanie z... Cochabambą

Nowo wybrany Prowincjał o. René Vargas ofm wziął pod uwagę to, co było ustalone przed moim przyjazdem do Boliwii i zdecydował, że z końcem roku mam iść do Concepción, do pracy w Wikariacie Apostolskim Ñuflo de Chávez⁶. Nadszedł 15 grudnia 1999 roku. Ostatnią Mszę św. w Cochabambie odprawiłem w kościele klarysek kapucynek. Niestety, ta Msza św. była nie tylko pożegnalną, ale i swoistą zemstą. A wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej. Przyszedł nasz parafianin i przedstawił się jako jeden z odpowiedzialnych z tworzenie „Radia Maryja” w Boliwii (nie po polsku, tylko odpowiednika włoskiego organału). Zwrócił się z następującą prośbą:

- Ojcze, chcielibyśmy codziennie wieczorem transmitować Mszę św. z naszego kościoła.

- To nie możliwe - odpowiedziałem - zna pan mój hiszpański i to miało by iść przez radio?

- Nie musi się ojciec o nic martwić, codziennie będzie przychodził inny kapłan. Ojcu też będzie lżej, bo przecież jest ojciec sam...

- No powiedzmy, że będziecie zapraszać różnych księży, ale jak któremuś w ostatniej chwili coś wypadnie i nie przyjdzie, co wtedy? - zapytałem.

- No to ojciec będzie musiał odprawiać.

Na tyle już znałem boliwijskie realia, żeby wiedzieć, że to „w ostatniej chwili coś wypadnie” będzie dość często. Ale był jeszcze jeden, mocniejszy argument.

- Widzi pan, ja tylko zastępuję gwardiana. Gdyby to chodziło o jeden raz, to mogę się zgodzić, ale to chodzi o stałą transmisję. Nie mogę przyjmować takiego zobowiązania, a potem, niech inny za minie to robi...

- Rozumiem ojca, będziemy szukać innej możliwości.

Kilka dni potem dowiedziałem się, że już znaleźli inny kościół i jest codzienna transmisja.

Bilet na samolot do Santa Cruz już miałem w rękę; wylot o godzinie 13 z minutami. I właśnie rano, na godzinę 7.00 poszedłem do klarysek kapucynek. Oczywiście Msza św. z kazaniem. Ale kiedy wróciłem do zakrystii, zakrystianka szepnęła:

- A wie ojciec, że ta Msza św. była transmitowana przez Radio Maryja?!

⁶ Wikariat Apostolski obejmuje obszar prowincji Ñuflo de Chávez i prowincji Guarayas, ponieważ jednak siedziba Biskupa jest w Concepción, dlatego nazwę skraca się tylko do tej pierwszej.

I masz babo placek... Myślałem, że uda mi się wymigać od środków masowego przekazu a tu na koniec mnie dopadły.

Po południu wylądowałem w Santa Cruz. W klasztorze czekał już na mnie proboszcz z Concepción. Mieliśmy zaraz jechać na Wikariat, ale okazało się, że jest blokada drogi więc nie zostało nic innego jak czekać.

Zaskoczył mnie mój dawny proboszcz z Hospicio, o. Juan. Okazało się, że rano wrócił z Hiszpanii. Domyślając się, że przyjadę do klasztoru św. Antoniego w Santa Cruz, tam też się zatrzymał, a nie jak zawsze u św. Franciszka. Miałem więc okazję do zdania mu relacji z pół roku mojej działalności w parafii. Powiedziałem mu o tym, co zostało zrobione, co się nie udało, co trzeba dalej robić.

I wreszcie 18 grudnia doszła wiadomość, że skończyła się blokada i wyjechaliśmy z Santa Cruz. Do Concepción przyjechaliśmy na kolację. Potem, o godzinie 19.30 rozpoczęła się Msza św. w katedrze, której przewodniczył Biskup. Wtedy też przedstawił mnie jako nowego wikarego parafialnego. I tak się zaczęło się moje życie w tropiku.